Nro 34.

TYGODNIK POLSKI.

Pismo poświęcone literaturze, obyczajom i strojom.

Lwów, 19 sierpnia 1848. **Rok dziewiąty.**

Wychodzi co sobota. Przedpłata z rycinami, rocznie 10 zr., półrocznie 5 zr., bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. m. k. Na prowincyi dopłaca się za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. m. k. We Lwowie przyjmuje się także prenumerata kwartalna, z rycinami 2 złr. 30 kr., bez rycin 1 złr. m. k. Z prowincyi można nadsyłać pocztą należytość prenumeraty pod adresem wydawcy, Tomasza Kulczyckiego, nr. 301 we Lwowie.

Dziennikarstwo dzisiejsze.

Udział nasz w terazniejszych zmianach politycznych wyszedł z zewnątrz, nie z wewnątrz. Przyjęliśmy rolę w rozpoczętem przez kogo innego dziele, ale sami nie rozpoczęliśmy tego dzieła. Byliśmy mu w prawdzie z serca przychylni, upatrzyliśmy w niem najściślejsze z własnemi dążeniami powinowactwo, ale dążenia te nie były jeszcze do powzięcia w niem inicyatywy czynu dojrzałe. Ztąd kiedy inne narody jakichkolwiek skutków na polu czynów w niem dostąpiły, my przedwczesnem targnięciem się do działania, przekraczającego obręb reformy domowej, doznaliśmy, jak w Poznańskiem, bezskuteczności trzęsienia drzewa owocowego przed dojrzeniem owocu. Unużyliśmy się, zakrwawiliśmy sobie dłonie, wszak zielony jeszcze owoc, nie spadł. Nie czyn więc, lecz to z czego ciało czynu się rodzi, słowo, padło nam zyskiem tegorocznego poruszenia, jest naszą dzisiejszą korzyścią, naszą wolnością.

Osiągniona swoboda druku i mowy wprawiła w nagły ruch pióra i usta. Wszczęły się gwarne rozprawy, namiętnie żywe narady; zawiązały się ku temu osobne grona radne. Każda uorgnizowana i nieuorganizowana, centralna i niecentralna „Rada“ utworzyła sobie piśmienny organ, dziennik udzielny, a wszystkie te głosy żurnalistyczne tworzą znowu, czy mają tworzyć, jedną właściwie centralną radę, Radę umysłową narodu.

Coż jest główną charakterystyką tej Rady? Oto właśnie napomknięte powyżej nieprzygotowanie do czynnego udziału w obecnym ruchu — oto właśnie wynikająca ztąd tażsama niesforność i niewyrozumiałość zdań, jaka się w większej części dzisiejszych Rad widzieć daje. Nie narzekalibyśmy jeszcze na to, że każdy interes w odrębne ciało, niejako w osobny organizmu narodowego członek skonsolidować się pragnie, w osobnym organie dziennikarskim wyrazić się dąży, ależ naprzod, różność interesów jest u nas jeszcze tak niedojrzale rozwinietą, że najżywotniejsze w gruncie interesa do niedawna albo żadnego w tej umysłowej Radzie zastępstwa nie miały, albo najniepraktyczniejszemu powierzone były strażnictwu i patronatowi; powtóre każde poszczególne zdanie tego patronatu zbiorowego uważało się za bezwzględny wyraz powierzonego pieczy swej interesu, z czego zamiast rzeczywistej opieki wynikały tylko różne stronnictwa opiekunów, powikłanie sprawy klienta, obałamucenie ogółu publiczności.

Podlegało temu osobliwie dziennikarstwo we Lwowie. Tu wkrótce po założeniu pierwszego pisma konstytucyjnego, „Dziennika narodowego“, pojawiły się jednocześnie dwa nowe pisma polityczne „Postęp“ i „Rada“ później „Gazeta narodowa“. Wszystkie one znajdowały w wyrażonych adresem 18 marca żądaniach narodowych wspólny punkt wyjścia lecz sposób zapatrywania się na pojedyncze żądań tych kwestye niebawem różne lica im nadał.

„Dziennik narodowy“ samą swoją pierwszością wystąpienia okazał, że polega na siłach, najbardziej do życia publicystycznego przygotowanych, dojrzałych. Jakoż ze wszystkich pism „Dziennik narodowy“ wywarł najbezpośredniejszy wpływ na obecny stan rzeczy. Jemuto głównie 10ty punkt adresu winien

swoje szlachetne sprawdzenie czynem. W kwestyi ruskiej przestrzegał on ściśle granic, po które pewna część narodu może wewnętrznego domagać się usamowolnienia, a poza któremi zaczyna się zdrada na całym narodzie, nie przestająca być zbrodnią, choć ktoś nie ze złej woli ale z nierozumu rękę do niej podaje. Sprawa wyborów miała w „Dzienniku“ od pierwszej chwili najliberalniejszego, aczkolwiek niepopularnego obrońcę. Ponieważ jednak „Dziennik“ wolał walczyć argumentami niż deklamacyą, przeto padł mu ten los dziwaczny, iż będąc w rzeczy najradykalniejszem z pism tutejszych, posądzonym został przez publiczność o trwożliwy moderantyzm. Co jakby goryczą serce mu przepełniając, nadało mu niepotrzebny przysmak cierpkości, aż wreszcie w nieporozumieniu z publicznością i innemi pismami, dał się unieść do żarliwości polemicznej, która aż w Krakowie odgłos zgorszenia wzbudziła. — Jakby dla uniknienia tego samego losu, wytknął sobie „Postęp“ przy pozornym ultra-radykaliźmie politykę ostrożności. Nie kusząc się o stanowcze rozstrzygnięcie tej albo owej szczególnej kwestyi, ulotniał on się zbyt skwapliwie w ogólnikowe rozumowania, w których nienawiść do dawnej, historycznej Polski i chętka apriorycznego niezgadzania się z każdem cudzem zdaniem najzrozumialszemi były wyrazami. Wywarciu zaś jakiegokolwiek praktycznego przezeń skutku stało na zawadzie zbytne nieusposobienie publiczności do czysto teorycznych rozumowań. — Najsmakowitszego dla publiczności pokarmu dostarczała „Gazeta narodowa“. Ta będąc zrazu buletynem odezw Rady narodowej, następnie zbiorowiskiem wszelkich bez braku zdań, w końcu partyzantem, ucierającym się na oślep z przyjaciołmi i nieprzyjaciołmi, zawierała tyle właśnie deklamacyi i teatralnego szermierstwa, ile tylko raczej podraźnienia niż nauki żądająca publiczność zapragnąć mogła. Co zaś do zasad, z tych najwydatniejszą w „Gazecie narodowej“ widzimy nieograniczony afekt dla Rusi, któremu święty obowiązek bronienia całości narodowej wydaje się być zdradą na dobrej sprawie, a tchórzostwo polityczne staroszlacheckim przesądem.— Tak z trzech głównych podziśdzień pism tylko początkowy zawód „Dziennika narodowego“ okazał się użytecznym dla sprawy narodowej. Dalszy jego ciąg, jakoteż inne pisma raczej zamąciły niż oświeciły publiczność. W tym zamątku spłynęły jeszcze dwa pisma, kirylicka „Zorja“ założona przez Stadiona, i „Polska“ założona głównie staraniem p. Gwalberta Pawlikowskiego. Obadwa zwalczają polszczyznę; „*Zorja*“ bronią niemiecką, „Polska“ straszydłem komunizmu, nad który oczewiście niema nic lepszego nad meternichowski arystokratyzm. Wszakże w tej wspólnej walce ma „*Zorja*“ przed „Polską“ zaletę szczerości i konsekwencyi. „Zorja“ chce otwarcie Austryi wieczystej, „Polska“ zaś chce bezwstydnem kuglarstwem całej dotychczasowej polemice przeciw nikczemnej przed i po-rozbiorowej arystokracyi nadać pozór walki przeciw ogółowi szlachty, podszywa się ze swemi arystokratycznemi pochuciami pod szlachtę, i potępiwszy z góry wszelką rozprawę o przyszłą formę rządu, oświadcza się w końcu z godną czasów rejencyi efronteryą za demokratyczną monarchią. Jeszcześ 1y numer Polski, mimo wszelkich swoich sprzeczności i fałszów, mógł nam wróżyć widowisko świetnej acz zdradnej walki o jakkolwiek zgubną zasadę, atoli dalsze numera są tak dalece próżne wszelkiej godności i powagi, walczą tak ulicznem błotem z Donkiszotowemi wiatrakami, że nietylko szlachta ale nawet austryacka arystokracya wstydzić się winna takiej obrony.— Wszelako rozgorywająca w ten sposób walka dziennikarska coraz wszechstronniej się rozprzestrzenia. Co żyje, chce w tym powszechnym boju błysnąć mieczem w obronie swojej sprawy, cisnąć swój kamień na wroga. Zaczyna wychodzić organ Stowarzyszenia oficyalistów prywatnych „Urzędnik prywatny“, zapowiedziany jest „Dziennik Stanisławowski“ z godłem litewsko-rusko-polskiej rzeczypospolitej na swym sztandarze; przygotowuje się „Dneunyk ruskij“; Rada narodowa zamierza ogłosić własnego urzędowego „Monitora“; komitet akademików czuje, jak słychać, potrzebę wydawać osobny „Dziennik akademiczny“, nadto oczekujemy „Polskiej Gazety powszechnej“, nadto mamy „*Kuryera lwowskiego*“ który chce polskim być *Charivari*, i mamy jeszcze świeżych „Przyjaciół“ ludu i dzieci— słowem grozi nam tu powszechna powódź dzienników.

W Krakowie i w Poznaniu ma się rzecz nierównie lepiej. Szczęśliwy brak kwestyi poddańczej i żywiołu austryacko-ruskiego dozwala dziennikarstwu tamecznemu poprzestawać na małej liczbie organów, i nadaje tymże organom nierownie większej zgodności i wagi. Główna ich dążność wymierzona jest przeciw obczyźnie. Z tąd bez zatruwającego nasze dziennikarstwo fermentu, są pisma zachodnie nierównie bardziej jednolito narodowemi, polskiemi. Mianowicie poznańska „*Gazeta Polska*“ i dalszy ciąg krakowskiej „Jutrzenki“ celują znakomitością spółpracowników i wyżwspomnioną polskością, ujmującą pełnym miłości i pogody poglądem na bieg rzeczy. Pragnęlibyśmy szczerze pobratać się z niemi tym duchem. Jakoż tuszymy, że to rychlej niż się spodziewamy nastąpi. Jak bowiem poznańskie i krakowskie pisma swoim prawdziwie narodowym duchem nad naszemi gorują, tak też i u nas daje się coraz większa potrzeba tegoż ducha uczuwać. Bolesna operacya pańszczyźniana

już po większej części przebyta; nie mniej bolesna dyssekcya ruska dąży do prędszego czy późniejszego zagojenia; reorganizacya prowincyi nie może się odbyć na polu samej polemiki i walki. Wszystko to wymaga wewnętrznego uspokojenia. Wszelka teoryczność ogólnikowa, ani też drobnostkowo-namiętna polemika nie doprowadzi nas do tego celu. Potrzeba nam, jakeśmy to powiedzieli, własnego domowego rozumu, narodowego ducha.

Owoż uczucie tej potrzeby mniemamy być wynikłością naszego przesilenia dziennikarskiego, objawiającego się wytkniętem powyżej rozmożeniem się u nas liczby i polemicznego ducha czasopismów. Zaspokojenie tej potrzeby musi skupić opinie społeczne w mniejsze grono dzienników, a to ich przebrakowanie, wychodząc tym, co się ostoją, na pożytek duchowy, dozwoli przytłumionej dotąd gałęzi czasopisarstwa nowem odetchnąć życiem. Mówimy tu o czasopismach naukowych, właściwie literackich, nie mniej skutecznego wpływu na życie, jak dziennikarstwo polityczne. Dzisiejszy rozruch pism politycznych zagłuszył jedyne u nas czasopismo naukowe „Bibliotekę“ zakładu Osolińskich. Należy się spodziewać że ona przy bliskiem uklarowaniu się naszego dziennikarskiego zamętu właściwe sobie stanowisko naukowe zająć pospieszy. Jesto nieprzedawnionym obowiązkiem zakładu, na który mianowicie w bieżącej porze opinia publiczna czujniejszą niż kiedykolwiek zwracać musi uwagę. Tożsamo i nasze pismo, jako „literaturze poświęcone“, będzie przy takim dostatku organów politycznych starało się odpowiedzieć przedewszystkiem swemu szczególnemu literackiemu zadaniu, o ile teraz literatura w oderwaniu od wpływów politycznych pojmowaną być może.

Do ogołu zaś właściwych pism politycznych, któremu po da bóg rychłem uśmierzeniu się obecnej tysiączno-głośnej polemiki, szczerego przejęcia się ową przez zachodnie pisma objawioną polskością z duszy życzemy, mielibyśmy zanieść prośbę o bliższe z czasem wykształcenie pojęcia tej pożądanej polskości. Dotychczas, oprócz pewnego uczuciowego, bogobojnego nastrojenia umysłu, ogranicza się ona w celujących charakterem tym pismach na tę jedną prawie, ujemnie praktyczną zasadę — iż nie czas jeszcze rozprawiać się dziś o formę przyszłego rządu w Polsce. Tak ujemne twierdzenie, bóg widzi, nie zdoła dość organizacyjnej na całe czasopisarstwo wywrzeć attrakcyi, aby się mogło stać jądrem nowego szyku myśli. Bliższego więc, dodatniejszego orzeczenia i wątku, panowie! albo będziem jeszcze długo musieli brnąć w jusze i błocie tysiąca najsprzeczniejszych żywiołów polemiki.

Do braci lekarzy.

Ludzkość choruje! wołają lekarze,
I źródło złego upatrują w ciele;
Więc ten namaszczać, ów krew puszczać każe,
Tamten cudowne wymyśla kąpiele;
Radzą i piszą i piszą i radzą—
Ale te leki na nic się nie zdadzą!

O! ludzkość cierpi, choruje okropnie!
Ale zaprawdę! nie ciałem lecz w duchu.
Cielesna rada niczego nie dopnie!
Duch z paraliżu wezwijcie do ruchu!
Ducha ratujcie! bo w strasznych suchotach!
I tak go mało w dzisiejszych żywotach!

Duch ten po całym rozlany wszechświecie!
W wnętrznościach ziemi, w łonie zimnej fali,
W kielichach kwiatów, w lodowych gór grzbiecie,
Zaklęty słowem, płomieniem się pali,
Bóg wlał go wszędzie, w tajemnej iskierce,
Nawet w człowiecze, w najzimniejsze serce.

Otoż tę iskrę z serc jakby z krzemienia
Trzeba wykrzesać, wyszukać w popiele,
I wydobytą roztlić do płomienia,
I płomień rozdąć po ludzkości ciele—
Płomień miłości! Tylko on wyleczy
Chorobę twoją o, rodzie człowieczy!

Jeśli na drodze życia napotkacie
Chorobę straszną, nazwaną zwątpieniem,
Nie rozpaczajcie o cierpiącym bracie,
Och! nie rzucajcie na niego kamieniem,
Sprobujcie wprzódy czy w tem zimnem łonie
Skryta miłości iskra nie rozpłonie.

Bijcie w to serce jak w łono krzemienia,
Czarem wszechmocnym przyjaźni, miłości,
Nieście mu szczytne wieszczów naszych pienia,
Mówcie o ojców cnotach i wielkości,
Wskażcie mu drogę, co do nieba zbliża,
Drógę najświętszą, Golgoty i krzyża.

Potem na sercu chorem kładąc dłonie,
Wymówcie nagle imię przenajświętsze—
Ha! jeśli wtedy nie zawrzy w tém łonie
Życie ogniste, silne, najgorętsze:
Rzućcie ten potwór, mijajcie zdaleka,
Oh! bo to tylko parodja człowieka.

Karol Baliński.

---

*

OBRAZEK
z czasów Stanisława Augusta,

Przez *A. Gorczyńskiego.*

(Dokończenie.)

Ranek był jasny, zwiastował dzień pogodny. Ta pogoda na niebie harmoniowała z pogodnym stanem jego duszy. Myśli coraz weselej nastrojone odpędzały troski, krzepiły serce dobrą otuchą.

Ledwie co ukończył toaletę swojej fryzury, która w onczas długiego potrzebowała zachodu, jął przysposabiać się w potrzebne do lekcyi rysunkowej rekwizyta.

Z wojskowego tłumaczka wydostał ćwiartkę welinowego papieru, wziął ołówek, gumi-elastykę i scyzoryk; z zbioru swoich rysunków wybrał co najlepsze. Tak przysposobiony zasiadł do stolika, przystrugał ołówka i dla skrócenia czasu zaczął rysować drzewa; z tych drzew zrobiła się altanka, w tej altance zrobiła się ławeczka, a na ławeczce osoba siedząca. Wejście lokaja przerwało to fantastyczne malowidło. Panna chorążanka posyłała dzień dobry panu oficerowi i prosiła go do siebie.

Uradowany młodzian coprędzej pozwijał swoje papiery, biorąc do ręki inne potrzeby rysunkowe, i za przewodnictwem lokaja udawszy się na drugą stronę pałacu, wstąpił do pokojów panny chorążanki.

Jakże został zawiedzionym, kiedy w pokoju, do którego wprowadził go lokaj, miasto chorążanki zastał córkę starosty; była samą.

Na widok oficera lekki rumieniec pokrył jej jagody, uśmiech umilił jej malinowe usta, cichym głosem przemówiła:

„Moja ciocia przeprasza pana—prosi, żeby się pan nie gniewał na nią—za chwilę przybędzie, właśnie co odebrała list od mojego papy... Jeżeli pan pozwoli zaczniemy naszą lekcyę.“

„Jestem na rozkazy panny starościanki“ odrzekł oficer. Głos jego był drzący, twarz wydała pomieszanie, ale i radość, jaką doznał, widząc się sam na sam z kochaną starościanką.

„Ale ja się boję“—zagadała Marya—„moja ciocia mówi mi zawsze żem niezdatna do niczego; pan będzie miał ze mną wiele pracy. Nie zechce pan usiąść?“

„Nie mam śmiałości zbliżyć się nawet do panny starościanki“—ozwał się oficer—„czuję się być tyle winnym, wiem że starościanka na mnie zagniewaną, gniew starościanki staje mi na myśli zawsze, kiedy o niej pomyślę, a ja o starościance—często—zawsze myślę.“

„O mnie? czy to prawda! Prawdziwie nie wiem sama, co mam panu odpowiedzieć na taki komplement.“

„Przemów słowem przebaczenia. Przebacz mi starościanko“—to mówiący ukląkł. Zdziwiona a razem trwogą przejęta Marya wyciągnęła rękę ku klęczącemu; oficer tę rączkę czule do ust przycisnął.

„Na miłość boga, niech pan wstanie.... ja proszę.... Przedemną nikt jeszcze nie klęczał.... ja się boję cioci.... wstań pan, wstań!“

„Panna starościanka jeszcze mi nie przebaczyła; gniewa się na mnie.“

„O mój boże, cóż mój gniew znaczy? któżby dbał o moje przebaczenie?“

„Nie przebaczasz mi? to ja pozostanę na kolanach, jabym tak klęczał do śmierci.“

„Ciocia idzie“— zaszeptała Marya. Trwogą starościanki postraszony oficer zerwał się na nogi. Była to udana tylko trwoga, chorążanka do pokoju nie weszła, Marya uśmiechając się mowiła dalej: „Ja skłamałam, za moje kłamstwo gdyby pana ukarano, byłoby to bardzo sprawiedliwie; bo i ja za winę pana pokutować musiałam.“

„Jakto? za mnie?“

„Za zgubiony trzewik klęczałam całą godzinę; kolana mię bardzo bolały, a kto był winien temu?“

„Czy być może i to z mojej przyczyny? O, droga panno starościanko! każ mi skoczyć w ogień, utopić się, zabić się, a obaczysz, że to uczynię, ażebym męczarnią moją okupić mógł twoje cierpienie. Nie, nie powiem pannie starościance, co ja doświadczyłem za pierwszem jej ujrzeniem, nie powiem, bo i sam niewiem co się dzieje zemną. Panno starościanko, już to pewna, że gdyby się poważył kto, gdyby się ośmielił pokochać pannę starościankę, musiałby kochać ją sto razy, tysiąc razy więcej, niż życie własne.“

„Co pan mówi?“ z niedowierzeniem powtórzyła Marya „pan oficer chyba sobie ze mnie żartuje, mnie nikt nie kocha.“

„Co mówisz? panno starościanko! Ciebie nikt nie kocha?“ zawołał oficer i utopiwszy swoje spojrzenie w jej oku pomyślał: „Gdybyś mi dozwoliła, kochałbym ciebie za wszystkich.“

Gdy to myślał młodzieniec, serce Maryi mocno biło; oczyma patrzyła ciągle w jedno miejsce.

Ale w przyległym pokoju dało się słyszec stukanie korka zbliżającej się chorążanki. Gdy weszła do pokoju, zastała Maryę siedzącą przed stolikiem; przed nią ćwiartka papieru, ołówek w ręce. Zdala od jej krzesła przy oknie stał oficer. Byli pomieszani. Chorążanka zdawała się być zagniewaną. Jej gniew objawił się marsem na czole, przymrużeniem oczu, tłumaczył się także wachlarzem, którym gdy zaczęła

wywijać takt w powietrzu, był to znak nieomylny, że wkrótce odezwie się muzyka łajania. „Cos to jest?„ przemowiła zatrzymując się na środku pokoju „Tomasa tu niema? A, pięknie! panna sama z oficerem w jednym pokoju. Cyz nie mówiłam asannie, azeby lokaj stał psy dzwiach póki ja nie psecytam listu? i nie psybędę? Co? nie mówiłam tego? Asanna nie słucha! Niechno jegomość psyjedzie, niech psyjedzie! A! z przeproseniem nie uwazałam, i pan tu jesteś? Pan oficer nie zmyślę, bardzo punktualny w lekcyi, a z początku dał się niby prosić, a właśnie dziś z przeproseniem pana z tej lekcyi nic nie będzie; ja tak mówię. Mocno załuję, ze pan sobie zadawał tyle pracy z psystruganiem ołówka dla mojej siostsenicy. Panna starościanka pojdzie do mojego gabinetu, psystroi ćwiartkę papieru i pióro, napise odpis na list mego bratanka *); posłaniec ceka, a psytém w pokoju są zaluzye, a do tego zapuscone, ze pan oficer, sam uwazy, ze do dawania lekcyi a zwłasca takiemu dziecku jak moja siostsenica, potrzeba światła; którego tu niema, kłaniam się panu oficerowi i prosę, bardzo prosę, nie zapominać się, bo w takim sposobie znajdzie się taki, ze psypomni jemu, kim jest i w jakim domu się znajduje; kłaniam się."

Skłoniła się z przykąsem i odeszła. Oficer przez chwilę stał jak osłupiały, poczém szybko wybiegł z pokoju zdesperowany.

* * *

Pan porucznik siedział w swoim czarnym pokoju samotny. Długie godziny dnia tego, który był jednym z najsłodszych życia jego, trawił na dumaniu o starościance. Młody, niedoświadczony nie wiedział jakie mieć może następstwa to niespodziane jego z starościanką rozłączenie, nie przeczuł tego, że chorążanka skoro gniewem swoim objęła Maryę i jego razem, tem samem zbliżała ich do siebie i złączyła.

Dumanie oficera przerwane zostało zapukaniem we drzwi. Był to kapral Matyasz, który zwietrzywszy piwo w stancyi pana porucznika, wyszukał fortelu, którym do jego łaski załgać się potrafił.

„*Teremtędy* panie poruczniku" zaczął mówić głaszcząc swe wąsiska „melduję panu porucznikowi ważną rzecz, niedobrą rzecz... Góry, ptaszki omdlewają..."

„Cóż się stało? powiedz, czy żołnierz się który pobił? zranił kogo?"

„Jako żywo, nie żołnierz z przyzwoleniem pana porucznika, ale panna starościanka."

„Co ty mówisz? co się stało? mów—mów!"

„*Teremtędy* prosto idę panie poruczniku, ale z przyzwoleniem pana porucznika, jabym się napił tego tam, jeżeli łaska nastąpi pana porucznika." Oficer nalał szklankę piwa gadule i czekał z bijącem sercem na to co mu oznajmi o starościance.

„*Teremtędy* szarf panie poruczniku, moja krajanka."

„Zacząłeś coś mówić o starościance" przerwał mu oficer.

„*Teremtędy* prosto idę panie poruczniku, kurytarzykiem, aż tu pst — pst! Ja na prawo w tył, patrzę słodko mi, smutno mi, to ona była."

„Widziałeś ją, mówiłeś z nią?"

„Przychyl mi krzyża panie, mówiłem z nią."

„Powiedz mi kochany Matyaszu, cóż ci powiedziała panna starościanka?"

„Ho, ho! panu porucznikowi starościanka w głowie, z przyzwoleniem pana porucznika, ja się spotkałem z moją krajanką, przychyl mi krzyża panie, panna szarf."

„Może wspomniała co o starościance? powiedz!"

"Właśnie też że wspomniała, panna starościanka smutna; z przyzwoleniem pana porucznika — płacze."

Oficer mocno się zmieszał, słysząc to.

„I *teremtędy* gniewa się na pana porucznika. Z listu co przyszedł dowiedziała się że pan porucznik z przyzwoleniem kalwin, przychyl mi krzyża panie."

„Jakto? panna Kostowiczowna to ci powiedziała?"

„Ho, ho, panie poruczniku, moja krajanka, szarf panna, szepnęła mi do ucha, — że — że..."

„Coż takiego, mówże — dokończ —"

„Szepnęła mi panie poruczniku, że starościanka w desperacyi:"

„Na Boga"— zawołał porucznik.

„Bo się dowiedziała, z przyzwoleniem pana porucznika, że ojciec pana porucznika jest kupcem, że łokciem mierzy w Toruniu."

To zeznanie kaprala smutne uczyniło wrażenie na słuchającym. Atoli gdy zaczął rozmyślać nad niem, i w myśli rozbierać te słowa Matyasza, nie mógł nie dostrzedz, że ten smutek, ta rozpacz starościanki dowodziła, iż dla Maryi obcym i obojętnym już nie był. Gdyby tak było, pomyślał sobie, czyliż Marya miałaby przyczynę smucić się tem, że jestem kalwinem, że nie rodziłem się szlachcicem?

Dumanie swoje zakończył tą uszczęśliwiającą go myślą; że Marya go kocha.

---

*) Panna chorążanka do napisania listu używała zwykle obcej ręki, przyczyna temu była iż prócz imienia przezwiska i swojego tytułu więcej pisać nie umiała. W zeszłym wieku nie było to nic dziwnego spotkać się z damą pisać nieumiejącą. Bywały bowiem matki, które do tyla były czułe i kochały dzieci swoje, że każdą naukę nazywały męczeniem dziecka. Bywało, że ojcowie troskliwi, bronili córkom nauki pisania, ażeby jak dorosną, nie pisywały do amantów.

Atoli kilka dni upłynęło, oficer nie proszony więcej do pokojów chorążanki, nie widząc Maryi smutne rawił godziny. Myśl pocieszająca go, że jest kochanym, odsuwała się co raz dalej od niego, jej miejsce zastąpiło zwątpienie i smutek.

Dnia czwartego po tej lekcyi tak szczęśliwie zaczętej, tak nagle przerwanej, zjawił się w pokoju oficera stary kamerdyner starosty. Przychodził z rozkazu panny starościanki, która odsyłała panu oficerowi zostawiony przez niego papier do rysunku i ołówek.

„Panna starościanka nie ma jakiego rozkazu? nie poleciła nic do mnie?“ zapytał porucznik.

„Nic“— odrzekł sucho stary kamerdyner starosty i wyszedł. Oficerowi smutno się zrobiło. Spojrzał na tę ćwiarteczkę jemu odesłaną, która na stole położona rozwinęła się, spojrzał i dostrzegł na niej jakiś rysunek. — Było to drzewo ołówkiem wyrysowane, a pod niem umieszczona liczka 9 i słówko sobota, literkami tak maleńkiemi, jakby nie piórem wypisane, ale szpilką wykłute było na papierze.

* * *

Na pałacowym zegarze wybiła dziewiąta godzina. Wieczór był pochmurny, a z nieba spadała kiedy niekiedy pojedyńcza kropla deszczu; ogród poruszany wiatrem szumiał. W pałacu pogasły już światła, czarne okna patrzały na ogród formując jedną czarną masę drzew,

W tym czasie kiedy panna chorążanka używała kąpieli w swoim pokoju, w altance nam znajomej siedziało dwoje osób. Byli zbliska siebie, głos ich mowy był tak cichy i smutny, że zdawać by się mołog, iż mówią do siebie westchnieniami.

„Daruj mi, przebacz! Maryo! Ja nie powinienem był kochać ciebie. Za to dziś muszę się rozstać z tobą—umrę z tęsknoty!“

Marya. Panie Samuelu, więc już pewnie, już koniecznie musisz mnie jutro opuścić?

Samuel. Odebrałem ordynans, jutro o świcie ztąd wychodzimy. Gdybym szedł na wojnę, lżejby mi było, bo może spotkałbym się ze śmiercią.

Marya. Jaki pan niedobry! Tak mnie dręczyć, tak przestraszać! Czyliż nie dosyć cierpię? O boże! Od dnia wczorajszego, jak tylko przyszedł ten list mojego papy, w którym doniósł, że przyjeżdża, że postawił na swojem, że pan ztąd wychodzisz, straciłam prawie przytomność, i kiedy sama jestem, płaczę, ale moje łzy cóż mi pomogą?

Samuel. Oh, droga Maryo, łzy twoje padają kamieniem na moje serce.

Marya. I dla czegóż poznać pana musiałam? Byłam spokojną i szczęśliwą, a teraz? Cóż się dzieje ze mną? Co się stanie ze mną, kiedy mnie opuścisz! Niewiem. Możebym się nie lękała śmierci; boję się tylko papy mego, i prędzejbym się odważyła pójść na śmierć, niż wyznać jemu, żem pana poznała, że bez pana życie już mi nieznośne. Nie wiem, co z sobą pocznę; nie będę mogła ukryć mojego smutku, moich łez, cóż powiem ojcu? cóż cioci? gdy mnie się pytać będą; a udawać wesołą, byłoby to coś okropnego dla mnie! Nie, tego ja nie potrafię, ratuj mnie panie Samuelu, ratuj mnie!

Samuel. Maryo! Rozrządzaj życiem mojem, powiedz co mam czynić? co przedsięwziąć? Nic trudnego, nic niepodobnego nie będzie dla mnie.

Marya. Pan się mnie pyta? Ja młoda, niedoświadczona, mogęż podać radę panu? Ja sama nie wiem czego mam pragnąć, co życzyć sobie. Ale czuję to, że byłabym gotową na wszystko, tylko jedno mi trudno będzie, i na samą myśl rozłączenia się z panem, trętwieję na zawsze. Och, to okropnie, nie mieć nawet nadziei widzenia pana, sama ta myśl zabija mię! Zdecyduję się na wszystko, bylem tylko była z panem, bylem tylko nie lękała się mojego papy.

Samuel. Maryo! Ja ci przysięgam, że cię nie opuszczę; będziesz moją, wykradnę cię ojcu. Ale Maryo, tyś zapomniała, że ja nie jestem szlachcicem, jestem kalwinem.

Na te słowa Marya zakryła sobie twarz rękami, zaczęła płakać. Po chwili ręce jej opadły na ramiona kochanka. A na Maryi ustach spoczął czuły nieszczęśliwej miłości pocałunek.

„Przy tobie zapomniałam na ojca“— rzekła Marya. „mogęż pamiętać na co innego?“

Gdy tych słów domawiała Marya i podniosła spuszczone oko, spotkało się ono z twarzą starosty, który u wyjścia altanki przysłuchując się rozmowie córki z kochankiem, stał nieruchomy jak skała. Marya wykrzykła i zemdlona padła w objęcia Samuela.

Starosta nie tracąc swojej powagi, obrócił się do ludzi, którzy stali za nim i powolnym do nich przemówił głosem: „Związać go i do lamusa z nim!“

To słowo jak piorun przeszyło pierś oficera, zatrzęsło nim. Opuścił kochankę, zerwał się na nogi, stanął, prawą ręką rzucił się do szpady, ale nie było przy jego boku szpady, obronicielki honoru.

„Ha!“— zawołał przerażony z gniewem—„przysięgam na mój honor!“

„Twój honor?“ zaśmiał się starosta szydersko. „Twój honor zostanie na moim dywanie. Wiążcie go.“

Dzięsięć rąk rzuciło się na młodego oficera. Opór bezbronnego był nadaremny; został pokonany i związany na rękach i nogach. Potem bez wrzasku, w cichości zaniesiono go ciemnym ogrodem do murowanego lamusa. Drzwi więzienia zatrzasły się za nim.

Więzień upadł na słomę; załamał ręce z rozpaczy. Stanęła mu na myśli nieszczęśliwa Marya.

Tymczasem starosta wydawszy dyspozycyę na dzień jutrzejszy, udał się do swojego gabinetu. Szklanka wody, którą wypił, uśmierzyła alteracyę. Nie widziawszy się z chorążanką, nie pytając o córkę, kazał się rozebrać, rozzuć, a oddaliwszy służbę, układł się do spania. Noc miał niespokojną, a nazajutrz równo ze świtem już w szlafroku i tureckich mesztach okazał się w pałacowym ganku. Twarz jego była wypogodzona, oczy iskrzyły się radością na myśl tej rychło spełnić się mającej zemsty. Atoli, jakież było jego zadziwienie, kiedy jeden z dworskich, pierwszy którego zobaczył, oznajmił mu głosem przerażenia i trwogi, że lamus rozburzony, oficera ani żołnierzy już niema. Starosta zaczerwienił się od złości.

Nie upłynęła chwila, Marya przyprowadzona przez chorążankę do gabinetu ojca, odtrącona nogą, leżała rozkrzyżowana na ziemi.

* * *

Końcem dopełnienia relacyi o wypadkach jakie zaszły w nocy, namienię, że panna Kostowiczowna, powziąwszy wiadomość o nieszczęśliwej przygodzie starościanki, i uwięzieniu oficera, znalazła sposobną chwilkę, z której korzystając, uwiadomiła o wszystkiem kaprala Matyasza. Ten rozbudził załogę i nie robiąc wrzawy, w cichości nocnej, zaprowadził swoich żołnierzy przed lamus, w którym znajdował się ich porucznik. W mgnieniu oka dach został rozrzucony, powała podniesiona, drzwi wyważone z zawiasów, a porucznik uwolniony. A żeby nie pozostała nawet pamiątka tych ścian, które były chwilowem więzieniem ich kochanego oficera, bagnetami ruszono mur, rozwalone zostały ściany i tam gdzie wczoraj jeszcze stał lamus, dzisiaj leżała kupa potłuczonych cegieł, było rumowisko.

Załoga, zrobiwszy swoje, wyruszyła o północy z Suchejwoli. Prowadził ją oficer z skrwiawionem sercem oddalając się od domu, w którym pozostała jego nieszczęśliwa Marya.

Dalsze przygody naszych niefortunnych kochankow, aż do ich szczęśliwego nareszcie połączenia, może później opiszem.

Wiadomości literackie. Od kilku miesięcy wychodzą we Lwowie dwa pisma, które gdyby nawet innych nie miały zalet, już dla samej zakreślonej sobie sfery działania zasługiwałyby na uwagę i wziętość. Są to **„Przyjaciel dzieci“ i „Przyjaciel ludu“.** Dzieci i lud — oto cała nasza ziemia przyszłości. Od jej pieczołowitej uprawy zależy przyspieszenie ziszczenia się tych nadziej, w które włożyliśmy całą duszę naszą, cały nasz byt. Nie ważmy sobie więc żadnej ofiary zamałą, żadnego trudu zabłahym do tego celu. Wystawienie chorągwi zbrojnej i jedno w nieoświecony umysł ludu i niewinne serce dziecka rzucone słowo prawdy są według sił ofiarującego jednakową zasługą. A zasługa ta staje się obowiązkiem, gdy ma tylko iść w pomoc innej już w życie wchodzącej zasłudze. Skromni wydawcy pism pomienionych jęli się niezaprzeczenie użytecznego dzieła, które jednakże tylko licznym spółudziałem publiczności w należytą wzmódz się może skuteczność. Dotychczasowa pomoc publiczności dla pism tych jest nieodpowiednią ich zasłudze, która zwłaszcza tem wyżej stanie, gdy redakcye mianowicie narodową pism swoich stronę, wiadomości własnej historyi, własnej ziemi, własnego ludu, obficiej wyposażą. Mamy sobie tedy za obowiązek polecić powtórnie obadwa pisma, które jak jedynie zacnemi wywołane są chęciami, tak też nadzwyczajnie niską ceną się odznaczają. Przenumerować można na „P r z y j a c i e l a d z i e c i„ u redaktora Fr. X. Bełdowskiego w kancelaryi zakładu narodowego im. Ossolińskich; na „P r z y j a c i e l a l u d u“ u redaktora J. A. Kamińskiego naprzeciw gmachu Osolińskich.

Z listu z Rosyi. Pisząc do was, lękam się wymienić nie tylko nazwisko u podpisu ale nawet miejsce, zkąd piszę. Jedno nieostrożne słówko, schwytane przypadkiem w drodze, mogłoby cały szereg osob w okolicy ciężko skompromitować. Surowość i baczność rządu posunęła się dziś u nas do niesłychanego stopnia — do komiczności, która jednak w Moskwie jest równie srogą i krwawą jak gdzieindziej najstraszniejsza traiczność. Wiosna tegoroczna która wam tak piękny wschód wolności zawróżyła, nam tylko jeszcze sroższe przyniosła pęta. Możesz więc wnosić, jaka martwota owładnąć musiała nasze i dawniej tak stłumioną piersią oddéchające życie literackie. Myślicie że nie mogąc ruszać się ciałem, możemy przynajmniej żyć myślą. Ale skądże spokoju do pracy myśli, gdy mimo wszelkich granic i kordonów i straży, czujemy jak tam w odległych kończynach naszego narodowego ciała budzi się i rozgorywa iskra bytu a nie zdoła przedrzeć się do nas, i tylko jakichś mimowolnych, nieświadomych kurczów i drgnień nas nabawia. O, to boleść równająca się śmierci. I moglibyśmy w tym stanie oddawać się swobodzie literackiej. Toż zupełna głusza w literaturze. Pisma warszawskie po części ustały, po części wpółmartwy żywot wloką, zbywszy ostatnich oznak własnego umysłowego ruchu, jakiemi się niegdyś po części od-

znaczały. Tylko wiadomości zagraniczne bywają po dziennikach dość, a nawet nadzwyczajnie obfite, jakby nam rząd umyślnie dowiedzieć się dozwalał, jaki tam zamęt i nieład w świecie, podczas gdy u nas tak błogi panuje spokoj. Nasz Tygodnik Petersburski odżuwa ciągle na przemian to Rzewuskiego Zamek Krakowski, to Sztyrmerowej Swiatło i cienie. Dziwna jak talent autora Pamiątek Soplicy w tych ostatnich utworach zmalał. Zresztą on sam, jakoteż jego bracia duchowi milczą— snać czekają, aż się dzisiejsza gra europejska rozwiąże, aby potem bezpiecznie z „filozofią pojutrza" wystąpić. Wszakże po tem zamarciu literackiem nie sądzcie o naszem zamarciu wewnętrznem. Pod tą zlodowaciałą powłoką wrą żywioły gorętsze od waszych najzapaleńszych demagogów.....

Podziękowanie.

Ogłaszając w Gazecie Lwowskiej trzecie sprawozdanie, komitet towarzystwa dam ku wsparciu więźniów stanu, emigracyi i akademików składa najserdeczniejsze podzięki szanownym rodakom, którzy tak szczodrą dłonią nieśli swą pomoc braciom w potrzebie.

Dzięki wszystkim! Lecz niechaj wolno będzie wymienić nazwiska tych zacnych obywatelek, które się gorliwie przyczyniały do pomnożenia naszych funduszów a mianowicie: Albinowskiej Wandzie, Karolinie Kozickiej, Joannie Korytkowej, Matyldzie Wybranowskiej, Białkowskiej, Bieniszewskiej Emilii, Cywińskiej Eligii, Czerszek Katarzynie, Chrzanowskiej (z obwodu stryjskiego), Dobrzańskiej Sabinie, Dmuchowskiej Henryce, Flechner (z obwodu samborskiego); Frisz ze Lwowa, Gutowskiej Karolinie, Petroneli Henslowej, Jaworskiej, Kakowskiej, Kadłubskiej (z obwodu złoczowskiego), Kozłowskiej Rozalii, Krasickiej Anieli, Lewickiej Eligii, Mniszkowej Eligii, Miączyńskiej Klementynie, Morawskiej Malwinie, Niesiołowskiej Katarzynie, Poradowskiej, Polanowskiej Emilii, Pomezańskiej, Rogojskiej Celinie, Rosnowskiej, Sobolewskiej Teresie, Sierakowskiej, Tyszkiewiczowej Paulinie, Truskolaskiej, Tycownie Franciszcze, Tyszkowskiej, Wiktorowej, Wierzbickiej Elżbiecie (z przemyskiego).

Zacne te obywatelki, prócz własnym datkiem wspierały czynnie swojemi usiłowaniami, nie szczędząc trudu i mozołu, a dając tyle dowodów niezmordowanej gorliwości, zostawią niezatartą pamięć w sercach wdzięcznych ziomków. Błogie uczucie szlachetnych dążności niech im będzie nagrodą za przeszłość a zachętą na przyszłość, która niemniej czynnego działania od nas wymagać będzie.

Składam oraz niniejszém najszczersze dzięki wszystkim moim szanownym współpracowniczkom za dowód danego mi zaufania, któremu aż do chwili ostatniej pobytu mego we Lwowie pragnęłam odpowiedzieć. Stosunki trzechmiesięczne dały dostatecznie poznać ukryte skarby serc waszych, a zbliżenie i poznanie tylu cnot, tylu przymiotów szlachetnych pozostaną drogą pamiątką chwil, któreśmy razem przeżyły w pełnieniu wspólnych obowiązków. Uczuciem siostry pozostanie na zawsze przejęte me serce, i na dal będę z całem poświęceniem dzielić wasze trudy w tak miłej serdecznéj chrześciańskiéj harmonii, która, jak dotąd zawsze przewodniczyła nam, tak i odtąd kierować będzie Towarzystwem pod przełożeństwem jednej, stósownie do przyjętej przez towarzystwo nasze na radzie komitetu zasady, wybieranej na ciąg miesiąca do sterowania podczas obrad komitetu, a na miesiąc pierwszy wyborem do tego powołanej Damy komitetu Anieli Ziętkiewiczowéj. Lwów dnia 11 lipca 1848.

Ewelina Żebrowska.

Stroje.

Damskie. Całkowite stroje od wyjścia są następujące: Suknia jedwabna w niebieskie i białe kraty; spodnica ubrana czterema falbanami w zęby wycinanemi; stanik do paska; rękawy krótkie, zrobione z trzech falbanków, rękawy długie z muszlinu haftowanego. Chustka z muszlinu haftowanego, w tyle w formie pelerynki a z przodu w krzyż złożona; garnirowana haftowanym muszlinem. Kapelusz z różowej krepy, zaokrąglony przy twarzy, ubrany wstążką.

Suknia bareżowa różowa, stanik trochę marszczony, w tyle sznurowany, ubrany dwoma falbankami w kształcie klapów; rękawy wolne; spodnica gładka, ubrana dwoma falbankami. Kapelusz ażurowy, słomkowy, podszyty taftą i ubrany długiem piórem białem.

O strojach mężkich nie mamy nic do powiedzenia, gdyż dotychczas nie zaszła żadna odmiana.

Rycina przedstawia: Suknia biała muszlinowa, spodnica ubrana wskośno w około falbankami; stanik wycięty, gładki ze szpicem; rękawy krótkie, pelerynka koronkowa, kapelusz krepowy biały. — Szlafroczek jedwabny, spodnica otwarta, ubrana wązką krepiną; stanik otwarty, rękawy długie, otwarte i obszyte tożsamo krepinką, rękawki i szmizetka muszlinowa. Kapelusz z paliowej krepy, ubrany piórami.

Redaktor odpowiedzialny KAROL SZAJNOCHA. *Wydawca* TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.